

# DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu l. 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok I.

— 103 — Poznań 1 sierpnia, 1888 r. — 03 —

Nr. 22.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 złr. rocznie, 1 złr. 25 cent. ćwierćrocznie, z przestaniem exemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciele, odbierający „Dom polski” w ekspedycyi, lub w redakcyi, płacą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w ekspedycyi, ulica Podgórna nr. 8 — lub w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, I. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko ekspedycya, lub redakcyja. — Inzeraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednolamowego. — Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcyja.

## WILLA ERLACH.

Powieść przez Ossipa Schubina.

Z języka niemieckiego tłumaczyła A. P.

●(Ciąg dalszy.)

„Czy żona Edmunda Rohritza nie złożyła wam jeszcze wizyty? zapytywał pan Leskjewitz w liście, niedawno do siostry pisanym. Nie o tem nie wspominać, a prosiłem przecież Edgara, żeby jej dał wasz adres. Znajomość z baronową Rohritz byłaby korzystną dla Stelli, gdyż przez nią miałyby ułatwiony wstęp do najlepszych towarzystw paryzkich.”

— Ależ on naturalnie niezważał na prośbę starego swego przyjaciela, jeżeli chodziło o zrobienie mi przyjemności — myśli Stella z goryczą.

Przy tych słowach zmierzonym, niezadowolonym wzrokiem powiodła po ścianach salonu, ozdobionych litografiami sławnych śpiewaków, z własnoręcznymi ich podpisami, widocznie więc hotel „Aux trois nègres;” mógł się swego czasu poszczycić artystyczną klientelą.

Po chwili bierze znowu książkę do ręki — przewraca kilka kartek, ale napróżno; oczy bez zajęcia biegają po czarnych lit rach, z treści ani słowa zrozumieć nie może.

— Mój Boże! woła z niecierpliwością, ktoż się może zająć poważnie przy podobnym hałasie, a przecież polecono nam ten hotel, jako najspokojniejsze mieszkanie w Paryżu.

Nad głową słyszy wyraźnie chód jakiegoś deputowanego z południowej Francyi, uczącego się na pamięć mowy, którą ma wypowiedzieć na wstępnym posiedzeniu; do uszu jej dochodzi jednostajny szmer półgłosem powtarzanych wyrazów, lub hałaśliwy patos, w jaki przy więcej patryotycznych ustępach wpada.

Tuż obok wygrywa ktoś na odstrojonym flecie „Ostatnią różę;” jest to jakiś angielski agent, cierpiący na oczy, doktorzy więc dla rozrywki polecieli mu zajmować się wiele muzyką. Nie musi jednakże posiadać znacznych zdolności, bo po raz ósmynasty powtarza tę samą sztuczkę, przynajmniej podług obliczenia Stelli.

— Doprawdy, że tu trudno wytrzymać, woła, zamykając książkę. O Boże! jak monotoniem, jak próżnem jest to życie, mówi z westchnieniem; chciałabym umrzeć, ażeby tej męce raz położyć koniec.

Pociągnięcie dzwonka przerywa jej monolog, Stella

idzie otworzyć i odbiera wytorną wizytową kartę z rąk wysokiego, wygalowanego lokaja, czyta na niej: „La baronne Edmond de Rohritz, née princesse Capito.”

— Madame la baronne zapytuje, czy pani baronowa jest w domu i czy przyjmuje, pyta się lokaj, znikając natychmiast po otrzymaniu potakującej odpowiedzi Stelli.

— Wziął mnie widocznie za służącą, myśli Stella, niezadowolona, że sama drzwi otworzyć musiała; następnie szybko wraca do salonu, ażeby usunąć niekoniecznie estetyczne sporządzenie bielizny, które jej zwykle przypada w udziale. Zaledwie dokończyła porządku, słyszy szybki, lekki chód na schodach, kompromitujący dzwonek odzywa się znowu i Stella po raz drugi otwiera drzwi wechodowe. Nowo przybyła wysoka, ślicznej figury kobieta, z bladą o arystokratycznych rysach twarzą, o dużych czarnych oczach, zmieniających bezustannie wyraz, chwilę przygląda się Stelli, lekko przymrużając oczy, następnie wyciąga rękę z przyjaznym, serdecznym prawie uśmiechem.

— Mademoiselle de Meineck, n'est pas?

Na chwilę nawet nie wzięła tej smukłej, skromnie ubranej dziewczyny za zwykłą hotelową subretkę.

— Szwagier mój, Edgar von Rohritz, pisał już kilka razy, żebym z paniami zrobiła znajomość, mogąc im być może w czemkolwiek pomocną. Wyznam szczerze, że list, polecający tak zazwyczaj wymagającego Edgara niemało mnie zaciekawił — codziennie też chciałam sobie zrobić tę przyjemność i odwiedzić panie, ale w Paryżu czas tak leci, że na coś nadzwyczajnego nie wiele pozostawia czasu — nareszcie wybrałam się. Czy mama pani w domu?

— Mama wyszła, ale zapewne niedługo wróci — byłoby jej bardzo przykro nie poznać dziś łaskawej pani — jeżeli więc pani baronowa zgodzi się na chwileczkę rozmowy ze mną, to...

— Byłoby mi bardzo przyjemnie porozmawiać z panią trochę, zapewnia ją baronowa; ale czy sądzisz, że mam czas na to? Coż pani masz za wyobrażenie o życiu w Paryżu! Chcąc panie odwiedzić, musiałam o kwadrans ukrócić cały mój rozkład dnia. Cela sera pour une autre fois. Mam jednak nadzieję, że się często ze sobą widy-



wać będziemy — wieczorami jestem zwykle w domu, chyba, że zbyt zmęczenie zapędzi mnie wcześniej do łóżka. Ale jak pani spędzasz czas od chwili zamieszkania w stolicy?

Baronowa Rohritz usiadła na niskim fotelu obok kominka, podniosła woalkę, a kosztowne futro opadło ze zbyt nieco szczupłych jej ramion. Delikatna, nieprzesadzona woń perfumów napełnia pokój — co za kontrast z tym odurzającym zapachem „peau d'Espagne“, jakiego używa tamta zniechęcona przez Stellę kobieta. Stella uważnie przygląda się siedzącej naprzeciw bratowej Edgara.

Nie posiadając bynajmniej urody brata swego, księcia Capito, Teresa Rohritz wygląda jednak nadzwyczaj ujmująco i dystyngownie, a trochę znížony wyraz, jaki ruchliwa jej twarzyczka przybiera czasami, dziwnego dodaje jej uroku. To też serce Stelli podbiła od razu pomimo impertynenckiego, ale życzliwego wyrazu czarnych oczu, pomimo trochę energicznych ruchów i głębokiego, a jednak dla ucha przyjemnego głosu. Jak pani czas spędzasz? pyta ponownie, nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi.

— Żyjemy bardzo skromnie, wyjąkała z nieśmiałością Stella. Mama, zajęta notatkami potrzebnymi do ukończenia pisanej przez nią książki, nie ma czasu starać się o osobiste moje przyjemności.

— Tak, wiem o tem, zapewnia ją baronowa, mój szwagier donosił nam o tem — ależ pani...

— Ja.... ja biorę lekcye śpiewu cztery razy w tygodniu.

— Edgar wspominał coś o tem, że się pani sposobisz do wystąpienia na scenie; gdybym była Francuzką, to podobny zamiar oburzyłby i zgorszył mnie nad wyraz, ale jestem na pół Austryczką, mówi, śmiejąc się wesoło. Zresztą znam podobne postanowienia, bo kuzynka moja Natalia Lipińska, będąca wprawdzie Rosyanką, chce również...

— Natalia Lipińska? mówi żywo Stella, to koleżanka moja, bierzemy bowiem wspólnie dwa razy tygodniowo lekcye śpiewu w instytucie della Seggiola.

— Czy tak? nie wiedziałam o tem. I ona chce zostać śpiewaczką pomimo dziesięciu milionów rubli majątku. W Rosyi i Austrii podobne zamiary w główkach dobrze wychowanych panien są rzeczą bardzo zwyczajną — ale, cela ne tire pas conséquence. Nie staram się też zupełnie wyperswadować tego Natalii, bo postanowiłam wydać ją za męża, zanim się moich planów domyśli, ale cóż mam z tobą zrobić, *ma belle aux cheveux d'or*. Czy wiesz, że podobalaś mi się więcej, niż przypuszczałam! *Le coup de foudre en plain lone at first sight*...

— W tej chwili zegar, stojący na kominku, datujący prawdopodobnie ze świetnej epoki Afrykanki, przedstawia ją bowiem z pękiem piór na głowie, głośno wydzwania trzecią godzinę.

Baronowa zrywa się z fotelu z komicznym przestrawieniem i porównuje czas z wyjętym z bocznej kieszeni miniaturowym zegareczkiem.

— Rzeczywiście, że to już trzecia, a biedny mój chłopiec czeka na mnie, woła, zapinając futro, o trzeciej miałam z nim być u nauczyciela muzyki. *Adieu, adieu, mes compliments* pani baronowej i do prędkiego widzenia, *n'est ce pas?* Na progu zatrzymuje się i wyciąga obie ręce do towarzyszącej jej Stelli. Przyjdź pani z maną do nas w tym tygodniu na obiad, na pierwszy raz będziemy zupełnie sami, *comme en famille*, to wszyscy poznamy się lepiej. Obędzie się bez poprzedniej ceremonialnej wizyty, chyba później, a zresztą pocóż czas tracić na przesadzonej etykiecie, tam, gdzie od razu szczerą powstała sympatya. *Adieu, adieu* — zazdroścę pani tych cudownych oczu — *je me sauve!*

Na pożegnanie energiczna kobietka całuje Stellę w czoło i szybko zbiega ze schodów.

Serce Stelli bije gwałtownie: Więc to on ją przysłał, a zatem jeszcze nie zapomniał o mnie.... powtarza sobie z radością.

## ROZDZIAŁ XXII.

— Będę się ciągle obawiała spotkania z niemi na ulicy; zwłaszcza kiedy ranna moja toaleta wiele pozostawia do życzenia, odezwała się baronowa, dowiedziawszy się po powrocie do domu o wizycie pani Rohritz. Cieszyłam się zawsze myślą, że mieszkam w mieście, w którym nie posiadam ani jednej choćby z widzenia znajomej osoby.

Następnego dnia, kiedy odebrała fiołkami pachnący bilecik z serdecznym zaproszeniem na obiad o godzinie siódmej, pułkownikowa Meineck oświadczyła z niezadowolaniem, że jest to wprost przeciwne etykiecie zapraszać na obiad kogoś, kto poprzednio w ich domu nie złożył wizyty i że podobny błąd w wyższych kołach towarzyskich równa się przestępstwu nie do darowania.

Ze względu jednak na błagające wejrzenie Stelli decyduje się przyjąć to wcale niepożądane zaproszenie.

— Dobrze, więc pójdziemy, ale pod warunkiem, że się zajmiesz mojem ubraniem, przeciwko czemu Stella wcale protestować nie myśli.

Jedną wieczorową toaletę, jaką baronowa w skromnej swej garderobie posiada, jest czarna aksamitna suknia, którą sobie przed ośmnastu laty kupiła i którą przed pięciu laty na ślub starszej córki przerobić kazała. Garderoba Stelli, odnowiona i pomnożona podczas pobytu w Wenecyi, liczy kilka ślicznych wieczorowych sukienek, które wprawdzie trochę niemodnie, ale jeszcze ładnie wyglądają.

Pomimo staroświeckiej sukni baronowa, dołożywszy trochę starania w uporządkowaniu zawsze roztarganych włosów, wygląda bardzo dystyngownie, a Stella zachwycająco. We wszystkim jej do twarzy, nawet w grubym brązowym habicie, gdyby go kiedy włożyła; ale w bladoniebieskiej kaszmirowej sukience z bukietem żółtych róż na ramieniu jest czarująca. Z bijącym sercem wsiada obok fiatki do trzęsącego fiakra, mającego je zawieść na ulicę Villiers, do hotelu barona Rohritza.

Nieukontentowanie i znudzenie życiem zniknęło dziś, jakby za dotknięciem różeczki czarodziejskiej i biedna Stella zapominając, jak łatwo giną te zamki na lodzie, zajęta jest znowu rozkosznem ich budowaniem.

Państwo Rohritz zajmują śliczny, własny pałacyk, prawdziwie cacko architektoniczne; w przedsionku, pełnym chińskich, porcelanowych figur, wyłożonym wschodnim dywanem i flandryjskimi makatami na ścianach, przyjmuje je wygalowany lokaj, pomagając zdjąć okrycia.

Stella, śmiejąc się, robi w duchu uwagę, że matka, którą wspaniały przedsiónek korzystnie dla właścicieli usposobił, raz jeszcze ogląda swe ubranie i starannie przygląda siwiejące już włosy. Rzeczywiście baronowa, chcąc się w jak najlepszym świetle nowym swym znajomym przedstawić, postanowiła sobie dać dzisiaj dowód, że uczoneść często chodzi w parze z dobrem wychowaniem i salonowym dowcipem, jednym słowem chciała dorównać, lub nawet przewyższyć te kobiety, których cel życia stanowią mężczyźni i toaletowe fatalaszki.

Do salonu wprowadza je marszałek tego miniaturowego dworu, stary, niski człowieczek, z miną przeważnie uroczytą, w czarnym fraku i białym krawacie. Zastają tylko pana domu, który na powitanie ujmie serdecznie obiedwie podane mu ręce.

— Cieszę się niewymownie, że mogę moich ziomków u siebie powitać, mówi sympatycznym głosem.

— I mnie to sprawia wielką przyjemność, odpowiada baronowa uprzejmie.

Rohritz przygląda jej się z dyskretną ciekawością.

— Co za powód miał Edgar, pisząc, że zapewne początkowo wyda mi się trochę oryginalną, dawno nie widziałem tak dystyngowanej i tak przyjemne wrażenie robiącej, starszej kobiety! Zona moja zapewniała mnie, że się stawi na oznaczoną godzinę, dodaje głośno, chcąc mnie paniom przedstawić. Widzę jednakże, że się omylił, lub zaponiść o tem musiała.

— To myślny były może zbyt punktualne, tłumaczy się baronowa z ujmującym uśmiechem.



— O! bynajmniej, zapewnia ją gościnnie gospodarz, tylko właśnie moja żona jest historycznie niepunktualną osobą. Nie można jej przekonać, że gołzina składa się z sześćdziesięciu minut i biedaczka postanawia sobie załatwić przez jedno popołudnie to, na co każdemu innemu najmniej tygodnia byłoby potrzeba; ale w każdym razie lada chwila nadejść musi, a panie raczcie tymczasem zajmą miejsce przy kominku, na którym na austriacki sposób napalić kazałem. Zdaje mi się, że doprowadziłem temperaturę do tego stopnia, jaki my. Austriacy, za właściwy uważamy, o Paryżanach nie ma co mówić; twierdzą oni, że im nigdy nie zimno i trochę malowniczego ognia na kominku zupełnie im wystarczy; za to cisną się wszyscy do niego, a ręce i nogi prawie na węglach kładą. Wynikiem tego są rozmaite odzębienia, róże i reumatyzmy, twierdzą przytem, że im nigdy nie zimno.

Chociaż kominek zupełnie dostatecznie jest napelniony, Rohritz dokłada ciągle drzewa, nie przestając się oburzać na przesadę i przechwałki niesympatycznych dlań Francuzów.

— Jak pan sobie przyjemnie dom swój urządzać potrafił; wchodząc, miałam to złudzenie, że znowu austriackiem oddycham powietrzem; od czasu przybycia do Paryża nigdzie mi tak dobrze nie było, zauważyła baronowa.

Powyższy komplement głaszcze miłość własną gospodarza — dziękuje zań niskim ukłonem i ujmującym uśmiechem. Gdyby wiedział, że gość jego od chwili przyjazdu połowę czasu na galeriach omnibusów, a drugą w skromnym *garni* przepędził, powiedzenie to byłoby niechybnie straciło wiele na wartości, ale będąc zupełnie nieświadomym stosunków nowych swych znajomych, ceni sobie tę uwagę wysoko.

— Cieszę się z całego serca, że się pani nasze gniazdko podoba, główne uznanie należy się mojej żonie, bo nie masz pani pojęcia, ile starań dokłada Teresa w wyszukiwaniu coraz do nowych przedmiotów do upiększenia naszego domu przydatnych. Ale też za to mieszkamy wygodnie, zupełnie po austriacku.

— Zupełnie, potwierdza szczerze baronowa.

— Nie pojmuję Teresy, zaczyna Rohritz po tej wymianie grzeczności, patrząc niespokojnie na zegar, stojący na kominku; upłynęło już prawie pół godziny od czasu, jak wysadziłem ją z powozu nawpół żywą ze zmęczenia, otoczoną niezliczonymi paczkami i sprawunkami — mam przecież nadzieję, że jej się nic złego nie stało.

W tej chwili aksamitna portyera rozsunęła się i do salonu weszła, a raczej wbiegła baronowa Teresa Rohritz. Czarna, krepowa suknia uwydatniała smukłą jej figurkę i podnosiła jeszcze matową błądź twarży, na której obok zmęczenia widać było gorączkowe jakieś ożywienie.

— Dobry wieczór paniom — i zarazem stokrotnie przepraszam za moje spóźnienie się, zawołała szybko, kończąc zapinać bransoletkę. Bardzo mi przyjemnie poznać panią baronową, ale czy mi panie wybaczą, że przy pierwszej wizycie czekać na siebie pozwoliłam? czuję, że to doprawdy nie do darowania.

— *Mais n'en parlons pas*, odpowiada baronowa, dumna z posiadania tego języka, gdyż młoda gospośia przez wzgląd na jej narodowość dotąd po niemiecku prowadziła rozmowę.

— *Mais si, mais si*, nie mogę sobie darować, chociaż nie moja w tem wina, że w tym nieznośnym Paryżu czasem wystarczyć nie można. Co pani porabiasz, baronówno, zwraca się do Stelli, głaszcząc białą ręką zarumienione jej policzki. Edmundzie, nigdy nie dzielisz mego zdania, mówi z uśmiechem do męża, ale czy tym razem przesadziłam także?

— Nie, najzupełniej nie, zapewnia grzecznie Rohritz, który napadnięty z nieacka nie mógł dać innej odpowiedzi.

— U kogo robiona pani toaleta? Sliczny, niebieski kolor, cały kostyum zachwacający, szczególnie koronki są ładnie ułożone — ale ponieważ liliowy kolor jest więcej do niebieskiego niż kremowego stosowny, pozwolisz pani,

że dokonam niewielkiej zmiany. Przy tych słowach, którym towarzyszy czarujący, jakby proszący uśmiešek, Teresa odpina bukiet róż z ramienia Stelli, dając w zamian bukietek wspaniałych aksamitnych fiołków, odjętych od paska swej czarnej krepowej sukni. Zjednać sobie wszystkie serca, wszystkich uszczęśliwić, wszystkim dobrych rad udzielać, za wszystkich sprawunki załatwiać, wszystkich uczynnością przewyższyć jest już raz na zawsze wadą, czy zaletą bratowej Edgara, o której ten ostatni utrzymywał, że pędzi p zez życie z szybkością wiatru pełnego nieoszacowanych przymiotów, któremi całej ludzkości niezliczone oddaje przysługi.

— Na cóż czekamy, Tereso, przerywa mąż, zniecierpliwiony jej gadatliwością.

— Na Cina.

— Napisał przecież, że, niestety! przed dziesiątą służyć nie może; „niestety!“ było kilka razy podkreślone — list położyłem na toalecie twego sypialnego pokoju, mówi, pociągając jedwabną taśmę dzwonka.

— *Madame la baronne, est servie*, odpowiada na to wezwanie uroczysty głos marszałka otwierającego podwoje jadalnego pokoju.

### ROZDZIAŁ XXIII.

Podczas długiego i wystawnego obiadu Stella skrycie robi trafną w rzeczy samej uwagę, że na pozór szczęśliwe małżeństwo w Paryżu cierpi również na nieuleczalną różnicę zdań, jak to i w Austrii się zdarza. Baron Rohritz z żoną nie sprzecząją się ani o włoskę mniej, lub więcej od Leskiewiczów, chociaż się *par dépit* ze sobą nie pobrali.

Rohritz, porzuciwszy od kilku lat zawód dyplomatyczny dla ciągłej niezgody ze swymi przełożonymi, a głównie, że nie miał tej ambitnej chęci zajęcia kiedyś wysokiego stanowiska, podał się do dymisji; pomimo, że mieszkając od kilku lat w Paryżu, wprawnie włada językiem francuskim, konwersacya dla osobistej jego przyjemności toczy się głównie po niemiecku.

Nie przestaje ani na chwilę robić porównań między Austrią a Francją, naturalnie zawsze na niekorzyść tej ostatniej. Nic go nie zadowala w Paryżu, począwszy od wykwintej kuchni we własnym swoim domu, skończywszy na aktorach „*Théâtre français*,” grających z prawdziwym artystem.

— Rybie nie mam nic do zarzucenia, mówi niedbale; i co we Francji pochwalić można, o tem nigdy nie omieszkać wygłosić pochlebnego zdania. Ale nie ma nic gorszego od francuskiej zwierzyny: mięso stęchłe i bez smaku, *rien de piquant*..., nawet strasburskie pasztety lepsze są w Wiedniu, niż w Paryżu, czy pani tego nie znajdujesz?

— Jesteś nieznośnym smakoszem, odzywa się Teresa na pół gniewnie, ze słabym na ustach uśmiechem: dla czego dziś właśnie rozmowę jedynie o jedzeniu prowadzisz?

— Musiałaś zauważyć, że podobna rozmowa zawsze korzystne o moim kraju wywołuje zdanie, odpowiada członek ambasady z dumą.

— Zapewne, oburza się Teresa, znamy się na podobnych zdaniach. Chociaż nie bronię Francuzów, to w tem ich jednak wyżej od Wiedeńczyków stawiam, mówi zwracając się do swych gości, że wiele mniej o swój żołądek dbają.

— Słusznie potwierdza Rohritz z żywością, ale czy wiesz, jaka jest tego przyczyna? Nie troszczą się tyle o własny żołądek, bo mają żołądek popsuty, nie strawić nie mogą, w ogóle jakiś skarłowaciały, zniedołężniały to naród. Czyście panie widziały kiedy francuskie wojsko, pułk piechoty, albo konnicy naprzykład? Litość i pogardę wzbudza w człowieku ta francuska armia!

Baronowa Meineck, jako żona dawnego wojskowego, potwierdza zupełnie powyższe wygłoszone zdanie, i łączy swe pochwały do gorących słów uznania gospodarza, jakie austriackie wojsko u niego wywołuje.

Rohritz przed objęciem zawodu dyplomatycznego służył dłuższy czas w pułku huzarów, a że te pochwały i jego



próżność przyjemnie głaszczą, więc się coraz więcej baronową i Stellą zachwycą.

— Chciałbym wiedzieć, dla czego się dziś tak spieszą z usługą? mówi po chwili, zwracając uwagę obecnych, na nadzwyczajną usłużność lokai; przysiągłbym, że mają zamiar wybrać się po skończonym obiedzie do Valentino, gdzie sobie wesóło obiecują wieczór.

— W takim razie ten pospiech na niewiele im się przyda, bo muszą później nam podać herbatę, odpowiada Teresa, obojętnie wruszając ramionami. Sądzę, że raczej mają jakiś żal do nas, bo uważają sobie za osobistą zniechęć, że prowadzimy przy nich rozmowę w niezrozumiałym dla nich języku.

— Być może, wdycha Rohritz z rezygnacją. Nieznośni są ci paryżcy lokaje ze wszystkimi pretensjami, których nasze skromne austriackie pojęcia wytłumaczyć sobie nie są w stanie. Na każdej twarzy wyraźnie wyczytać można: wprawdzie dziś służę i nie posiadam własnej woli; ale kto wie, co się jeszcze stać może. Wierzą oni niezachwianie, że rola służącego jest tylko chwilową i że pewnego pięknego poranka zostaną co najniżej księciem Persigny albo Malakoffem, słowem jeszcze większym odemnie dygnitarzem. Czyż nie mam racji, Tereso?

— Zupełną, poświadczą żona; ale pozwól mi zadać ci jedno pytanie. Dla czego to, jeżeli wszystko w Paryżu niemożliwym, lub niedostatecznym znajdujesz, począwszy od strasburskiego pasztetu do paryżkiej służby, dla czegoż nie pozostałeś w Wiedniu?

— Och! to inna śpiewka — zupełnie inna!...

— Nieprawdaż? mówi Teresa z tryumfem. Trzeba paniom wiedzieć, że ta rodzinna miłość mego męża nie jest tak fanatyczną, jakby to z jego rozmowy wnosić można. Ojczyznę swoją uwielbia i kocha, ale z daleka, przywiązanie to jest więc trochę platonicznej natury. Przed pięciu laty, po wzięciu dymisji chciał koniecznie wracać do kraju; nie sprzeciwiałam się bynajmniej życzeniu i wyprowadziłam się do tego ukochanego Wiednia. Nie mając od razu stosownego pomieszkania, zamieszkaliśmy w hotelu i mąż mój po półrocznym pobycie tak się tem ukochanem miastem znudził, że *à cor et à cri* powróciliśmy tutaj.

— Słusznie, przyznaje po chwili; Paryż ma dziwny jakiś urok i kto raz w nim zamieszka, już się z nim później rozstać nie może. Jeżeli paniom dym nie szkodzi — dodaje po chwili, widząc, że żona daje znak opuszczenia stołu „i jeżeli dzieci lubicie, to w takim razie moglibyśmy na czarną kawę przejść do mego pokoju, gdzie malcy już na mnie czekają z pewnością.“

#### ROZDZIAŁ XXIV.

W małym, znajomem nam kółku nie ma już ani cienia ceremonialnej sztywności, gdy po skończonym obiedzie przechodzą wszyscy do fumoaru, uprzywilejowanego pokoju barona. Ściany tego męskiego budoaru zawieszono są przepysznie inkrustowaną bronią, puszysty dywan zakrywa posadzkę, a niskie wschodnie fotele, które Rohritz osobiście przywiózł z Kairu, zachęcają do słodkiego *dolce farniente*.

Dwie małe istotki wybiegają naprzeciw u wejścia; pięcioletni chłopczyk z gładko podciągniętymi, czerwonymi pończoszkami i trzyletnia dziewczynka w białej krótkiej sukience, z obnażoną szyją i gołymi rączkami. Oboje pomagają matce w rozdawaniu czarnej kawy; Manon podaje filiżanki, a trzyletnia Bébé postępuje za nią z uroczą minką, trzymając srebrną cukierniczkę pulchnymi rączkami. Ukończywszy to, w jej przekonaniu ważne zajęcie, stawia ostrożnie cukierniczkę przed matką z głośnym westchnieniem, jak gdyby ciężki jakiś obowiązek spadł z trzyletniego jej serduszka. Następnie, idąc za wrodzonym popędem próżności, gładzi starannie bufiastą sukienkę, jednakże na skinienie ojca, siedzącego ze Stellą w przeciwnym końcu pokoju, biegnie szybko i zapominając o toalecie, siada mu bez ceremonii na kolanach, poczem następują codzienne pieszcoty i uściski.

— Poznajesz pani tę fotografią, baronówno Stello? zapytuje ją członek ambasady, głaszcząc złotą główkę córeczki. Przy tych słowach pokazuje jej naturalnej wielkości portret, wiszący pod olejnym obrazem starszej, ale jeszcze pięknej kobiety. Stella widziała tę fotografią zaraz przy wejściu, ale udaje, jakby dopiero teraz zwrócono na nią jej uwagę.

— Tak jest, sądzą, że poznają odpowiada przyglądając się obrazowi z krytycznie przymrużonymi oczyma. Jeżeli ma przedstawiać barona Edgara Bohritza, to zmienił się bardzo od tego czasu.

— Bez kwestyi. To też fotografia ta robiona jest przed dwunastu laty; Edgar, wyjeżdżając do Meksyku o-fiarował ją matce, której był ulubieńcem. Kiedy po trzech latach powrócił do Europy, matka nasza umarła, a on osiwił, mając lat dwadzieścia siedm. Powiesiłem go umyślnie pod portretem matki, na pamiątkę że go najwięcej z nas wszystkich kochała.

— Dla mnie, fotografia ta jest ideałem męskiej piękności, odzywa się Teresa wśród swej rozmowy z baronową. Często bardzo sprzeczałyśmy się z moim bratem Cino w tej kwestyi, który Apollina belwederskiego uważa za przedstawiciela męskiej urody.

— Bo wydaje mi się, że jest do tej lalki podobnym, odpowiada Rohritz oschle.

Dziwna rzecz, myśli Stella, jak ci bracia są do siebie podobni; ten chociaż starszy i ociężalszy na każdym kroku Edgara przypomina.

(Ciąg dalszy nastąpi).

## KORRESPONDENCA „DOMU POLSKIEGO.“

Poznań, dnia 30 lipca.

Skoro w przeciągu roku nadejdzie pora, którą „ogórkową“ albo też z francuzka „saison morte“ nazywać zwykliśmy, zjawiają się na bruku większych miast głośnie skarżące tych, którzy są zniewoleni pozostać w mieście, a nie mogą w zaciszu wiejskim szukać schronienia przed zgiełkiem życia codziennego. Po prostu wszystko, co pozostało, dąsa się i gniewa: dziennikarze, że mimo błogiego snu polityki co dzień myślą muszą o nowinach, cukiernicy, że nikt nie pożąda ich cukierków i ciastek, dzwonki szkolne, że ku wielkiemu swemu zmartwieniu do szkoły nie mogą wołać studentów, a wreszcie i śnieżne franki naszych pensjonatów, że z po za nich żadne ciekawe oczko na świat nie spoziera.

Tego roku wprawdzie nie mieliśmy tym, co nas opuścili, czego zazdrościć. Niebiosa, jak nam, tak i im poskąpiły pogody i dla tego też prawie płakać się chciało, czytając jeremiady naszych podróżników, osnute zwykle na temat: „Dziesięć dni w deszczu,“ albo „Zima wśród lata.“ Siedmiu braci śpiących dotrzymało po prostu tego roku słowa, a dotrzymało ku wielkiemu żalowi nietylko mieszczan i podróżujących, ale także i naszych rolników, strasząc ich prawie jeszcze więcej niż wędrowna szarańcza.

My zresztą w Poznaniu, aczkolwiek opuszczeni i samotnieni, bawiliśmy się mimo deszczów i słyoty nie źle, co zrozumie się samo przez się, kiedy zważymy, że przecież Poznań umie się zawsze bawić wyśmienicie, co też jest jego największą... zaletą. Nie minęła ani jedna niedziela, gdzieby tutejsze stowarzyszenia, cechy i kółka towarzyskie nie były odbyły kilka zabaw, a mimo to, że czasem z zimna prawie zębami przyszło dzwonić, każdy bawił się wybornie: kupiec i urzędnik, stary i młody przemysłowiec, rzemieślnik i rękodzielnik. Już to, jeśli o jakim naszym



mieście, to o naszej wielkopolskiej stolicy można powiedzieć z Kochanowskim :

„To moja największa wada,  
że tańczę bardzo rada...”

Wydane codopiero półroczne sprawozdania z czynności naszych towarzystw, niestety smutny ten fakt potwierdzają, gdyż dowiadujemy się z nich, że niektóre tutajskie towarzystwa tylko tem widują swój pasożytny żywot i tylko do tego zdążać się zdają celu, że co rok urządzają kilka balików i zabaw. Byłoby w tem tylko pół biedy, gdyby przy zabawie nie zapominano o potrzebie ducha, gdyby nie dawano prymu nadobnemu przed zacnem, a przyjemnemu przed użytecznem. Tego jednak niestety o zabawach naszych powiedzieć nie możemy.

W manii zabaw różnorodnych ku własnemu zadowoleniu zapomnieliśmy dotychczas o zabawie, która najmniej z wszystkich wymaga zachodów, a najwięcej przynosi pożytku. Dobra wola wystarcza przy niej za wszelkie koszty, a odbyć ją można podczas każdej pory i to nawet bez tańców, które wszystkim naszym towarzystwom zdają się być alfa i omega każdej zabawy. Co najważniejsze, każdy z urządzających taką zabawę zdobywa sobie wiele serc złotych i wiecznotrwałą wdzięczność. Mówię tu o zabawach i wycieczkach dla dzieci. Dotychczas w tym kierunku u nas nie prawie jeszcze nie zdziałano, a majówki szkolne są jedynymi zabawami, które biednym dzieciom miejskim pozwalają na kilka godzin zapomnieć o ciasnych murach miasta.

Ponieważ jednak majówki szkolne mają więcej szablonowy charakter, a nadto wysuwają rodziców, mających do dzieci największą prawa, dopiero na drugi plan, powstała myśl urządzania obok majówek szkolnych, także zabaw z charakterem rodzinnym. To też cieszymy się, że w Poznaniu, jak donoszą tutejsze gazety, ojcowie rodzin uznali korzyści płynące dla dźiatwy z podobnych zabaw i że tym celem urządzają w przyszłych dniach ogólną zabawę dla dzieci polskich. Życzymy im w tym względzie wszelkiego szczęścia, a przede wszystkim życzymy, ażeby licznych znaleźli naśladowców po prowincyi.

## ZŁUDZENIE.

Raz cię widziałem — ach! nie zapomnę,  
Doliną zdroj się wił,  
Nad brzegiem zdroju usiadłaś przy mnie  
A jam ze zdroju pił.

Kłękam na brzegu — biorę gałązkę,  
A fala mknie i mknie,  
I chyłę usta, chyłę, a w fali  
A w fali widzę cię.

Te blade lica, jak biała róża,  
I blade uśmiech twój,  
To się wychyla z fali, to rusza,  
A falą bije zdroj.

I chyłę usta... coś mi się śniło....  
Ach! nie pamiętam, nie!  
Wody nie piłem — ciebie nie było,  
A fala mknie i mknie.

J. C.

## WYSPA GOTLAND.

Obrazek z podróży

ułożył

hrabia Wawrzyniec Benzelstjerna Engeström.

(Ciąg dalszy.)

Zręczny intrygant, któremu i cudne oczy zalotnej, a niezbyt surowo cnotliwej *Margetty* potężnie dopomagały, doprowadził wreszcie do tego, że rozmiłowany w wietrzniczy *Atterdak*, postanowił zdobyć *Gotlandyę*, zapanować nad miastem, którego marzył zdobyć, i przysiągł zawieść tam z sobą dziewczkę, aby ze skarbów *Wysby* sama gościnnie sobie wybrała. Saga nam opowiada, że w tym celu, za namową przebiegłego *Nilsa*, król, tajemnie przebrany za lubeckiego kupca, udał się w roku 1360 do *Gotlandyi*, aby zbadać warownię i plan kampanii ułożyć. Jako skromny kupiec, wylądował na wybrzeżach, a chcąc się lepiej utaić, pominął *Wysby* i stanął w gościnie u wójta osady „*Ungenhäuse*,” w parafii nadmorskiej „*Öja*.” Zaprzyjaźniwszy się z poczciwym gospodarzem, rychło nadużył gościnności ławotwórnego krajowca, rozmiłowując córkę jego tajemnie. Piękna „*Inna*” w dobrej wierze cudzoziemcowi serce oddała. Wskutek prowadzonego tajemnie romansu z dziewczyną, przyszło pomiędzy *Woldemarem* i obrażonym ojcem „*Inny*” do burzliwego zajścia, wskutek którego mniemany kupiec lubecki wypoliczkowany został sromotnie. Król *incognito* tak uczęstowany, przyjął policzek i nie uważał za stosowne mścić się na razie. Dom opuściwszy, zachował dalsze stosunki z obalamuconą dziewczyną, która wierząc w czyste przywiązanie, obietnice i przysięgi uwodziciela, dawała się bezmyślnie używać za narzędzie najobrzydliwszej intrygi i zdrady. Wprowadzała tajemnie kochanka do miasta, udzielając wszelkich wiadomości, jakie mu były potrzebne, odsłaniając mu tajemnice, o których ważności najmniejszego nie miała wyobrażenia. Rozpoznawszy wszystkie tajemne drogi, porty okoliczne, punkta słabsze, siłę miasta i sposób jego obrony; dowiedziawszy się wszystkiego, co mu potrzebne było, opuścił *Woldemar Gotlandyę* tajemnie, porzucając zawiedzioną kochankę.

W rok później na tem samem stanął wybrzeżu na czele zbrojnych swoich szeregów, w towarzystwie nieodstępnej już teraz *Margetty* i jej chciwego ojca, który, jak sęp złowieszczy, poświęcając swą jedynaczkę, po zemście i złoto za królem ciągnął w pochodzie.

Nastąpiła katastrofa wyżej już wspomniana, o której kilka tu tylko, wedle legendy dorzucę jeszcze szczegółów.

Zdobywszy miasto i zrabowawszy kościoły i domy, wiedział *Woldemar*, że dużo jest jeszcze tajemnie ukrytych skarbów; aby je zdobyć, haniebnego użył podstęp; kazał wytoczyć na rynek trzy największe kadzie browarne, a zgromadziwszy pozostałych przy życiu rajców i bogatszych obywateli, oświadczył im pod zagrożeniem tortury w razie oporu, że nie tylko im życie daruje, ale łagodnie i po ojcowsku panować odtąd będzie *Gotlandyi* i wszystkie dawne jej przywileje uroczystą przysięgą zatwierdzi, jeżeli w przeciągu trzech dni kadzie te złotem i srebrem napełnione zostaną; w przeciwnym razie kamień nie pozostanie tu na kamieniu. Napełniono kadzie pod dozorem złotnika *Nilsa*, który napawał się złośliwie upokorzeniem zwyciężonego patrycyatu *Gotlandyi*; skarby wywieziono do *Kopenhagi*. Na przeladowanych okrętach, które pod *Karlosö* zatoneły, zakończył życie mściwy ojciec *Margetty*.

Mimo królewskich obietnic i przysięgi, żadnego nie zatwierdzono przywileju, a w wyśmianem i zbezczeszczonem mieście, niejedna jeszcze głowa upadła.

W chwilach tego pogromu oszałała z bólu i wstydu dziewczica z rozpuszczonym włosiem i rozdartą odzieżą, jak



widmo przebiegała miasto i okolice, głośno przeklinając króla-uwodziciela i o zdradę ojczyzny oskarżała się sama. Wiedzano już dawniej o nieszczęśliwym losie uwiedzionej dziewczyny, teraz dopiero wyjawiała się przyczyna i zgroza całego dramatu. Pod okiem zwycięzcy nikt w ogólnej bolesti nie zważał na szaloną pokutnicę, która pod basztą obok wyłomu zasiadłszy, kary i śmierci się domagała.

Po wyjściu *Woldemara* pozostała w *Gollandyi* silna załoga i srogi zapanował namiestnik, pod którego opieką chwilowo król pozostawił bogato wyposażoną *Margettę*, która rzeczywiście tu panią się być zdawała.

W krótkim jednakże czasie zrozpaczeni mieszkańcy *Wysby* podnieśli rokosz, a mszcząc się zniewagi i krzywdy, wyrznęli całą załogę. Na czele tej krwawej rzezi, jak widmo białe, przesuwiała się wszędy szalona pokutnica *Gollandu*. Zamordowała dumną *Margettę*, a uciawszy jej piękną głowę i na oszczepie zatknąwszy, złowrogim sztandarem zemsty do rozpaczego boju lud zagrzewała. Gdy niestało już wroga, powróciła z krwawym oszczepem pod basztę, sprawiedliwości dla siebie od ojczyzny się domagając, a gdy te płacze i prośby namiętne i bezustanne się powtarzały, zamurowano ją żywcem w baszcie, którą sobie upodobała, w baszcie najbliższej wyłomu, którym *Dwieczycy* weszli i która dotąd „*basztą dziewicy*“ nazywana, czarnym upiorem stojąc, drży jeszcze na ojczystej straży.

Takie i tym podobne, najrozmaitszej treści, legendy nas pospół z murem tym otaczają, połamane i przekształcone szczątki historycznych prawd narodowych poetycznie nam przechowując.

Zstępując niżej w miasto, wspomnieć nam trzeba zamek „*Wysborg*“, kilkakrotnie w dziejach tutajszych głośny, chociaż już później przez namiestników duńskich w r. 1411 pobudowany. Była to obronna siedziba zbójów morskich, którzy na czas dłuższy owdłoneżyli *Gollandyę*, ale z tego czarnego gniazda zbrodni nie już prawie nie pozostało; kilka szczybatych zrębów tylko, otoczonych lepiankami spokojnych dzisiejszyspiarszy. Dziwne tu także i ciemne o tych murach sągi, jakoby krwią i łzami pisane legendy w sercu się pozostały rybaków.

Nad szarym zrębem starego grodu-upiора białe przełatują mewy. Te wędrowne latawce morza tutaj zazwyczaj odpoczywają, a saga o nich powiada, że z wieków w wieki ten punkt obrały i wiecznie nad nim kółują w postaci morskiej ptaszyny, trzy duchy białe, trzy zmarłe tutaj *siostry dziewice*. Ogi na zamku gdy rządziły zbroje i krwawe się odgrywały dramata, na lotnej łodzi przybiła z morza łupieżnych braci gromada. Zwieziono jefice i bogate łupy; wprowadzono na zamek możnego pana z dalekich krajów wędrowca. Za siwobrodym ojcem trzy jasnobrewe wprowadzono dziewice, które wśród morskiego rozboju w ręce się rozbójników dostały.

Cudne to miały być dziewoje i możnego rodu panięta, o czym skarby zabrane i bogate świadczyło ubranie.

Wśród gwaru i zamieszania, jaki sprawiło na zamku szczęśliwego połowu przybycie, wesoło i luczno u Mistrza podejmowano braci, a branki podziw i zachwyt wywoływały. Badano więc nieznanomych, — rycerz wędrowny, pan możny i bogaty, z powagą odpowiadał, a sowy okup im przyrzekając słowem rycerskiem i przysięgą, o wolność prosił daremnie. Zamknięto w podziemiach jeficów, a po długim dopiero namyśle, po naradach, badaniach i targach zapowiedziano ojcu, że przysięga i słowo rycerskie niedostateczne, złożony je uroczyste, powrócić do ojczyzny może, ale dla zabezpieczenia umowy, powinien zostawić córki w zamku, zakładem. Oburzony wzbraiał się długo nieszczęśliwy ojciec, ale gdy nie było innego sposobu, a one same błagały go na kolanach, aby je pozostawił, do domu spieszył i wracał spiesznie z okupem, — z ściśnionem sercem, poleciwszy je Bogu, popłynął w morze, ratunku w domu szukając. Długo na zamkowej wieży stały dziewczęta blade, za łodzią goniąc spojrzaniem. Na łasce mistrza i pod jego rycerską opieką pozostały branki na zamku w wieży strzeżone i nikt tam nie miał przystępu.

Nieznane, w obcej dalekich krajów mowie, odmawiały wspólne na wieży pacierze i pieśni czasem uroczym głosem śpiewały, a na szczyt baszty wstępując, jakby gołąbki białe, na morze tęskno patrząc, z daleka się wydawały. Oswoiło się całe miasto z tem zamkowym widzeniem, z cudownym nabożnej pieśni chorałem, który od wieży tęskną w oddali płynął melodyą. Długie tak przemijały miesiące. Po niebieskiem morzu tysiączne żagle się przesuwają, nie przybywały wieści z południa i ojca widać nie było. Mistrz i rycerze jego rachowali dni i tygodnie, termin miął niepostrzeżenie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

## LISTY

Narcyzy Żmichowskiej do Bibianny Moraczewskiej.

VI.

12 Kwietnia 1861.

Moja Bianeczko, tak się spieszę, że nie mam czasu dwóch listów napisać i dla tego proszę cię, abyś swoją karteczkę Erazmowi na pocztę dla uspokojenia go rzuciła. Nie wiem, jakie tam o bieżących wypadkach poszły sprawozdania — ja ci choć najtreściwiej to powiem, czego pewną jestem. Wśród wypuszczonych z cytadeli znajdowali się najwierniejsi doktryn p. Ludwika adepei, poczciwe, odważne, ale głupie jak cietrzewie chłopaki. Gdy się tylko ukazali na świecie, otoczyła ich banda dwuznacznej reputacyi zapaleńców — tacy Wolscy, Zmorsey, Niewiarowscy i t. p. Korzystając z ogólnej sympatyi, jaka zwykle więźniów politycznych otacza, pochwycili ich niby chorągwie do ręki i wszędzie przed sobą obnosić zaczęli. Młode głowy odurzały świeżem powietrzem i brzękiem słów poetycznych i widokiem narodowych kolorów — nie jeden może, który jak student zachwiany w sumieniu do więzienia poszedł, stanął nagle bohaterem. Od jednych słyszał, że 25 Lutego głupstwo zrobił, które najpierw Opatrzność Boża, a potem ciężka praca i krew ludzka w 27-ym naprawiła; drudzy mu powtarzali, jakie to wielkie korzyści padły za kilka trupów, jakim zbawieniem kraju był jego zapal nieogledny, jak krew użyźnia, więc jak znowu „krwi trzeba“ — i cóż dziwnego, że radziej słuchał tych dytyrambów odurzony cytadeczyk i piąty dziesiąty upił się myślą ofiarnego poświęcenia. „Dać się zabić, dać się powiesić“, to było jedynym programem politycznym wszystkich klas gimnazjalnych i szkoły sztuk pięknych; takie usposobienie, jak moje lub wszystkich moich najbliższych, już się liczyło do wstecznictwa — były w naszym gronie indywidua wprost na powieszenie skazane — ot! zwyczajnie dziecinne umiesienia i wybryki urodzonych w niewoli pokoleń. Z drugiej strony rząd chciał być uprawnionym do użycia dawnej nikolajowskiej metody. Z Petersburga na quasi ministra oświecenia, z władzą dyskrecyonalną, przysłano człowieka potępionego przez opinią publiczną. Człowiek ten, Wielopolski, zaczął od dumnych i wyzywających manifestacyi, zagroził szlachcie, zwymyślał duchowieństwo, dosypał węgli żarzących na gromadzące się wszędzie palne materiały. Czy to z jego natchnienia, czy z piekielnego partyi nikolajowskiej konceptu, wszystkie rozporządzenia rządowe szły koleją, która coraz więcej moralnego siała niebezpieczeństwa. Najpierw znieśli delegacyą, potem rozwiązano konstablów, a nakoniec, gdy bezbronna, lecz wzburzona stolica między ludzi szaleńców i między Moskali morderców się dostała, osamotniona, odarta z wszelkiej możebnej rozsądki narodowej opieki, wtenczas dopiero rzucił jej na głowę rozwiązanie Towarzystwa rolniczego i nową przeciw spełnionym faktom obelgę, a jak gdyby umyślnie wybrali do tego czas



dwuświąteczny, kiedy cała masa rzemieślników z wolnemi rękoma na skinienie pierwszego lepszego przywódcy oczekuje. W ciągu poprzedniego tygodnia bywały już codziennie prawie kilkunasto tysięczne zbiegowiska, ale te się bardzo smutnie rozsypany zwykle kończyły, piątek szczególnie był dniem feralnym — u Reformatorów z rana ledwo się nie podusili, kiedy ktoś pośród tłumu rzucił popłoch, że armaty prowadzą, a rzeczywiście była to jakaś machina rolnicza. Więc też wyrzucano agitatorom, że bezczelnymi demonstracjami lud do ucieczki przyuczają tylko. W niedzielę zrobiono aż trzy demonstracje, już to zaczynało w śmieszność przechodzić, kiedy wieczorem ksiądz wszystko uratował, bo, jak ci donosiłam (a to powtarzam na intencją Erazma) wyprowadził wojsko i cofnął je po przeszło godzinnych parlamentowaniach. Gdyby już na tem przestano! ale w poniedziałek wypadł pogrzeb jednego z Sybirczyków. Lud jak tumany kurzu kręcący się już w powietrzu, tłumnie za trumną pościągają. Nim wrócił, już przed zamkiem zbiła się, lecz nie więcej nad parę set osób licząca gromadka. Nieszczęście mieć chciało, że pocztylion przejeżdżający zatrąbił Dąbrowskiego. Wnet mu zawtórowały liczne i coraz liczniejsze głosy, aż wojsko znów wystąpiło, z wojskiem nie tak jak w niedzielę rozmawiać, ale drażnić się zaczęło. Wezwano do rozejścia się, wezwano z naszej strony, by jak wczoraj cofnięto żołdaków — oficer już zdawał się na wpół zachwiany, aż wtem wyszedł ksiądz z krzyżem i procesją od Bernardynów prosto na zamek wiodąc, lud rzucił się ku niemu, część z wracających od Powązek także się przyłączyła i pierwsze strzały padły, i zaczęła się dziwna, niepojęta walka; siedm razy Moskale rotowym ogniem sypnęli, bili kolbami, pękali żelazem bagnetów — lud stał jak mur, lud padał i przeklinał i odgrażał się i wierzył ciągle, że śmiercią zwycięża!... Ach! kto zmarnował taką chwilę zapału bez jednej szansy wygranej, niech mu sumienie ciągle o tem świadczy...

Cobyśmy mogli zrobić z bronią w ręku, z jakąś nadzieją zwycięstwa, no, choćby z planem najrozpaczliwszym, ale zawsze z planem.

Teraz takie skutki wszystkiego, stan obłędzenia, choć nie ogłoszony, ale de facto istniejący, aresztowania ciągle, dezorganizacja okropna; Zam. bez plany, ale słaby, Wielop. bez ufności, ale rozumny, pierwszy ma tylko władzę przeszkadzania, drugi nie może w obecnym stanie mieć władzy czynienia, ten temu a ten temu kłocem w drodze leży, a żaden z nich Polski nie da, lecz w obecnej chwili wolę Wielopolskiego, niż Andrzeja. Wieść o poniedziałku na wsiach nie złe zrobiła wrażenie, szlachta się zjeżdża do Warszawy, miasteczka się budzą, aż w niektóre miejsca musiano wojsko posyłać, zrzucając burmistrzów, zawiązując delegacje. Oh! gdyby trochę broni i trochę porozumienia z innemi prowincjami, ale na demonstracjach czas się zmarnował! Boże ratuj nas, bracia módlcie się za nami; rannych policzyc zabiera do kazamat, trupów tylko dziesięciu przyznano, a jest ich pewnie do stu przeszło.

Rzemieślnicy już zaczynają sarkać, że ich panowie w błoto wprowadzili, a teraz sami uciekają, lecz to się da może jeszcze sprostować.

Na później obszerniejsze sprawozdanie i żegnając, a te papiery to są dla Erazma.

## KRYTYCZNY POGLĄD

### na sztuczne pożywki dla niemowląt i dzieci,

napisał

Dr. Józef Koszutski.

(Ciąg dalszy. — Zob. Nr. 21.)

Po wywodach tych i zapoznawszy nas z mąką Kufekego, podaje autor wspomnianej rozprawki znowu pobie-

żnie cały szereg rad, dotyczących podawania pokarmu niemowlętom, czystości buteleczek, własności mleka krowiego, jego fałszowań, przechowania, ciepłoty i t. d. i t. d. i dostaje się do rozrzedzania i rozczyniania mleka. Tu mąka Kufekego stawa do walki z wspomnianymi powyżej sposobami dodawania do mleka, dla niemowląt przeznaczonego, klejków z kaszy owsianej i innych, a całą broń, przez autora jej podaną, stanowi twierdzenie „iż doświadczenie za tem mówi, że przy dodatku do mleka mąki Kufekego nieład w kiszkiach niemowlęcia, którego się obawiamy, prawie nigdy nie następuje.“\*) Gdyby zaś przypalkiem przy użyciu mleka gotowanego z mąką tą miały nastąpić objawy niestrawności, natenczas tylko samą czystą polewkę z niej podawać wypada.

Dalej następują rady, jak to trzeba żywić dzieci przy ząbkowaniu, odłączeniu, podczas cierpień przewodu pokarmowego i t. d., w których to przypadkach znowu mąka Kufekego najważniejszą odgrywa rolę. Tyle o broszurce.

Dr. Happe\*\*) i dr. Thomas\*\*\*) wypowiedzieli o mące Kufekego na zjeździe lekarzy i przyrodników w Berlinie w r. 1886 odbytym, (na drugim posiedzeniu z dnia 21-go września dla działu cierpień dziecięcych) sąd, na który się zgodzono, iż mąka Kufekego, podawana niemowlętom i dzieciom, obok dyetetycznej i leczniczej pomocy w cierpieniach przewodu pokarmowego lepszą jest od mąki Nestlégo i zdawała się dopomagać do usunięcia chorobliwych objawów, „przecież w krótkim czasie sprzykrzy się malcom, a leniwe matki, chcąc nie chcąc, do podania im mleka krowiego powróciły się z niewolone.

Dr. Thomas wyraźnie oświadczył, iż dzieci mąkę Kufekego przyjmują niechętnie i radził użycie mleka rozcieńczonego wodą, lub herbata, gdy je w ogóle niemowlęciu podawać wolno.

Mąka Kufekego, pomimo owych przez chemika dr. Pieper stwierdzonych części składowych, mleka matki zastąpić zupełnie nie jest w stanie — i nigdy nie zastąpi.

### Mąka dla dzieci Neavego. (Neave's Kindermehl.)

(Kindernahrung.)

Josiah R. Neave, słynny chemik w Fordingbridge, w Anglii zamieszkały, którego firma od 1825 roku tamże już jest znana — zestawil wyrób cenny, obecnie po całej Anglii, jej posiadłościach na wyspach i koloniach, w Ameryce i Australii rozpowszechniony, który jest czystym, bez dodatków mleka i cukru, bez pretensyi do miana jedyne go „zastępcy pokarmu matki,“ a za to dobrocią swą i skutecznością wszystkie dotąd wyliczone i znane nam mąki przewyższa.

Analiza czyli rozbiór części jego składowych, przez dr. Bartlett w 1874 roku dokonana, zapewniła już wtenczas owę wyższość, i to po stwierdzeniu wyniku, iż wyrób ten zawiera w sobie pierwiastki, ciało i kości wytwarzające, i co najważniejsza, bardzo łatwo strawne. Dr. Lankester potwierdził to i zapewnił, że mąka Neavego nie zawiera żadnych nieczystych, lub szkodliwych domieszek, co następnie przyznał także cały szereg lekarzy i chemików angielskich i niemieckich, którzy jak najkorzystniej o niej się wyrażali. Znanemi obecnie są, prócz wielu innych, sprawozdania seniora niemieckich chemików, słynnego prof. dr. R. Frezeniusa z Wiesbadenu, z 30 grudnia 1887 roku, dr. Stutzer w Bonn, dr. O. Bach w Lipsku, dr. Frühling, dr. J. Schulz w Brunszwiku, dr. O. Schweissinger w Dreźnie, dr. C. Bischoff w Berlinie, Dr. W. Thörner w Osnabrück, dr. Bissinger et Henking w Monachium, dalej dr. Letheby, Cameron, Ruddock, Ure, Hassel i t. d., którzy jednoznacznie bardzo pochlebny sąd o niej wydają.

\*) Op. cit. strona 18.

\*\*) Verhandlungen der vierten Versammlung der Gesellschaft für Kinderheilkunde. 59 Versammlung deutscher Naturforscher und Aerzte. Berlin. 1886. Dresden. Druck von G. Teubner. 1887. Seite 28.



Prof. dr. Frezenius badał, oprócz mąki samej, także i polewkę z niej przyrządzoną i ocenił wartość tej sztucznej pożywki nadzwyczaj dokładnie.

Dwie łyżki mąki tej w kilku łyżkach zimnej wody rozpuszczone, gotowane w połowie litra wody przez sześć minut wśród bezustannego mieszania, utworzyły po dodatku  $\frac{1}{4}$  litra mleka i 10 gramów cukru polewkę smaczną, blade-żółtawą, klejko watą. Badanie drobnowidzem wykazało, że polewka ta nie zawierała w sobie ziarenek niezmięconej mączki, że zatem do strawienia lekkiego w żołądku i kiszkach zupełnie przygotowana została.

Prof. Frezenius podaje, iż 100 części tej polewki zawierały:

a. Połączeń organicznych bezazotowych, oprócz tłuszczu, (wodowęglanów, i t. d.)		
w wodzie rozpuszczalnych . . . . .	6,22	
nierozpuszczalnych . . . . .	3,59	
		9,81
b. tłuszczu . . . . .		1,24
c. azotowych składników (substancji) w wodzie rozpuszczalnych . . . . .	1,23	
nierozpuszczalnych . . . . .	1,22	
		2,45
d. minerałów		
w wodzie rozpuszczalnych . . . . .	0,32	
nierozpuszczalnych . . . . .	0,03	
		0,35
e. wody . . . . .		86,15
		100,00

Na podstawie tych wyników analitycznych można, twierdzi Frezenius, uważać mąkę Neavego za wyrób względnie bogaty w białkany (połączenia azotowe), kwas fosforowy i wapno, a zatem w części, które przy tworzeniu się krwi i kości główną odgrywają rolę.

Porównując polewkę z mąki Neavego, zgotowaną z zwykłym pokarmem zdrowej matki, zauważymy, podług Thornera, Samelsoņa i tylu innych chemików, niespodziewane, zgodne wyniki, dotyczące ich zawartości. I tak zawiera

Polewka		Pokarm matki.
Części białkawatych	2, 10%	2, 36%
Tłuszczu	1, 45%	3, 94%
Wodowęglanów	7, 80%	6, 23%
Cellulozy (drzewnika)	0, 70%	0, 00%
Popiołu	0, 34%	0, 45%
Kwasu fosforowego	4, 104%	0, 103%
Wapna	0, 08%	0, 08%
Stosunek pożywny	1 : 4,6	1 : 4,5

Na podstawie takich badań zgodzili się obecnie wspomniani powyżej chemicy, tak angielscy, jak i niemieccy, że polewka z mąki Neavego, odpowiednio przyrządzona, posiadająca równą zawartość owych składników, krew i kości niemowlęcia tworzących, za pokarm matki służyć mu może.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

### Wiadomości literackie, artystyczne i rozmaitości.

**Znakomity** powieściopisarz Daudet napisał w najnowszym czasie romans pod napisem: „Niesmiertelny,” który odznacza się nadzwyczajną bystrością spostrzeżeń, zachwycającą wszystkie dzienniki paryżkie.

**W Krakowie** wyszło dwutomowe dzieło prof. hr. Tarnowskiego pod napisem: „Z wakacji.” Dzieło to, za-

wierające opis podróży autora do Kijowa, Moskwy, Wilna itd. w latach 1874—78, uwydatnia w sposób zajmujący charakterystykę tych okolic, ich ludu, zwyczajów i obyczajów, ich zabytków, pamiątek i wspomnień z przeszłości.

**Młoda pianistka** Helena Szkopówna, Warszawianka, uzyskała na ostatnim konkursie klasy fortepianoowej w konserwatorium paryżkiem pierwszy medal. Już od trzech lat otrzymuje ona corocznie pierwsze medale przy przejściu do klas wyższych.

**Znakomity** basista Miller występował niedawno w Warszawie dwa razy w Lukrecyi Borgii, gdzie dał dowód, iż, mimo trzydziestoletniej kariery teatralnej, umie i dzisiaj jeszcze porywać słuchaczy swoim metalicznym głosem.

**Poważne** czasopismo „Revue scientifique“ podaje wiadomość, że pewien farmer w Kingston zastępuje w gospodarstwie rolniczym ludzi małpami, które tak wyćwiczył, że wszelkie wykonują roboty, w zakres ten wchodzące, a o tyle mają wyższość nad murzynomami, że są od nich przy pracy zwaśsze, kosztują zaś cztery razy mniej.

**Panna** Marya Szmurłówna, której utwory malarzkie odznaczały się już nieraz na wystawach robót tego rodzaju, otworzy niebawem w Warszawie nową szkołę rysunków i malarstwa dekoracyjnego na porcelanie, atlasie, drzewie itp., przeznaczoną dla kobiet.

**Na konkursie** akademii sztuk pięknych w Petersburgu nagrodzono złotym medalem obraz, przedstawiający Ikara i Dedala, który jest dziełem zgasłego w kwiecie wieku, a nader uzdolnionego Jana Grejma. Temat do tej kompozycji należy do najpiękniejszych mytów greckich; stąd też często w żywy i świeży uwydatnia się sposób w sztuce i poezji.

**W kościele** św. Szczepana w Wiedniu ma stanąć pomnik na pamiątkę dwóchsetnej rocznicy oswobodzenia go od obłężenia Turków. Żałować tylko należy, że przy wykonaniu tego wcale pięknego projektu wbrew prawdzie i sprawiedliwości historycznej pierwsze zajmować będzie miejsce postać Staremberga, gdy tymczasem Sobieski, rzeczywisty oswobodziciel stolicy nadnaujskiej, wraz z ks. Lotaryńskim zajmie dopiero drugie.

**Wedle pomysłu** inżyniera Eiffla wybudują na przyszłorocznej wystawie powszechnej w Paryżu wieżę, którą będzie można policzyć do cudów architektury. Ma ona wysokością i trwałością przewyższąć wszystkie tego rodzaju pomniki starego i nowego świata, a nawet i piramidy. Katedra św. Piotra w Rzymie jest 142 metry, a najwyższa piramida w Egipcie nawet 116 metrów niższą, aniżeli przyszła wieża babilońska w stolicy nadsekwauńskiej.

**Pan** Henryk Merzbach, Warszawianin, urządza pierwszy w Europie międzynarodowy kongres ksiązkowy, którego zadaniem będzie zbadanie różnych ulepszeń w wydawnictwach książek, dotyczących wykończenia, przesłki, publicznego użytku i opieki prawnej.

**Polskie** okazy wyrobów kobiecych na wystawie międzynarodowej w Glasgowie zwracają na siebie uwagę publiczności, a nawet następcy i następczyni tronu angielskiego przypatrywali się z zajęciem wyrobom Polek. Pomieszczono je w oddzielnych szafach, z napisem Poland, przyozdobionych kwiatami i roślinami.

**Spółeczeństwo** polskie bolesnej doznało straty przez śmierć Stanisława Janickiego, znakomitego inżyniera, który niedawno umarł w Warszawie w sile wieku i zdolny do najobfitszej w owoce działalności. Znano go chlubnie zwłaszcza we wszystkich kołach specjalistów, wykonał bowiem różne, a nader trudne zawodu swego prace w Francji, Anglii, Egipcie i Turcji. Ostatnie lata życia przepełdził w Warszawie, udzielając już tylko rady innym specjalistom, którzy jej zaciągali nader chętnie i skwapliwie.

TREŚĆ: Willa Erlach. Powieść przez Ossipa Schubina. Z języka niemieckiego tłomaczyła A. P. (Ciąg dalszy nastąpi). — Korespondencya „Domu polskiego“ z Poznania. Zegota. — Złudzenie. Wiersz J. C. — Wyspa Gotland. Obrazek z podróży ułożył hr. Wawrzyniec Benzelstjerna Engeström. (C. d. n.) — Listy Narcyzy Zmichowskiej do Biblianny Moraczewskiej. VI. — Krytyczny pogląd na sztuczne pożywki dla niemowląt i dzieci, napisał Dr. Józef Koszutski. (C. d. n.) — Wiadomości literackie, artystyczne i rozmaitości.

Redaktorka Teofila Radońska w Poznaniu. — Czcionkami i nakładem drukarni Dziennika poznańskiego.